

Siódma część cyklu SIGMA FORCE

# JAMES ROLLINS



# KOLONIA DIABŁA

## Jesień 1779 roku Terytorium Kentucky

Powoli ukazywała się czaszka potwora.

Z czarnej ziemi wystawał fragment pożółkłego kła.

Po obu stronach wykopanej dziury klęczeli w ziemi dwaj ubłoceni mężczyźni. Jednym z nich był ojciec Billy'ego Prestona, drugim jego wuj. Billy stał nad nimi, nerwowo gryząc knykieć. Dwunastolatek wybłagał zgodę na udział w tej wyprawie. Dawniej zawsze zostawiano go w Filadelfii z matką i małą siostrą Nell.

Na myśl o tym, że może tu stać, rozpierała go duma.

Ale w tym momencie towarzyszył jej dreszcz lęku.

Może powodem było wiszące nisko nad horyzontem słońce, które rzucało na obozowisko splątane jak sieć cienie. A może kości, które wykopywali przez cały tydzień.

Pozostali zebrali się wokół nich: czarnoskórzy niewolnicy wynoszący kamienie i ziemię, statecznie ubrani uczeni z palcami poplamionymi atramentem i oczywiście zagadkowy Francuz Archard Fortescue, przewodnik ekspedycji w głąb pustkowi Kentucky.

Ten ostatni — kościsty, o kruczoczarnych włosach i z cieniami pod oczami — wzbudzał w Billym strach, w czarnym fraku i kamizelce przypominając mu przedsiębiorcę pogrzebowego. Billy słyszał pewne pogłoski o tym chudym jegomościu: podobno wykonywał sekcje zwłok, na których przeprowadzał różne eksperymenty, podróżował do odległych zakątków świata, zbierając jakieś tajemnicze przedmioty. Mówiło się nawet, że kiedyś

uczestniczył w mumifikacji zmarłego uczonego, który ofiarował nauce swoje ciało, ryzykując nieśmiertelną duszę dla tak makabrycznego przedsięwzięcia.

Ale francuski naukowiec miał bardzo dobre referencje. Został osobiście wybrany przez Benjamina Franklina na członka nowej grupy naukowej, Amerykańskiego Towarzystwa Krzewienia Wiedzy Praktycznej. Najwyraźniej w przeszłości wywarł na Franklinie duże wrażenie, choć bliższe szczegóły ich kontaktów pozostawały nieznanne. Ponadto Francuz miał wpływ na nowego gubernatora Wirginii, człowieka, który polecił im przyjechać w to dziwne miejsce.

Właśnie dlatego spędzili tu tyle czasu i nadal tu byli.

W ciągu kilku minionych tygodni Billy obserwował, jak liście na pobliskich drzewach zmieniają kolor z miedzianorudego na ogniście szkarłatny. Ostatnio ranki zaczynały ich witać szronem. W nocy wiatr ogołacał drzewa, zostawiając wyciągnięte do nieba szkielety gałęzi. Codziennie rano Billy musiał zgrabić i zamiatać góry liści z wykopaliska. Toczył z nimi bezustanną wojnę, jak gdyby las próbował ponownie zagrzebać to, co zostało wydobyte na światło słoneczne.

Nawet teraz Billy dzierżył w rękę miotłę z suchych traw, przyglądając się, jak ojciec — w zabłoconych spodniach i z podwiniętymi do łokci rękawami koszuli — usuwał resztki ziemi z zakopanego skarbu.

— Teraz bardzo ostrożnie... — ostrzegł Fortescue z silnym obcym akcentem. Odrzucił do tyłu czarne poły, by pochylić się bliżej, opierając jedną dłoń na biodrze, a drugą na rzeźbionej drewnianej lasce.

Billy zjeżył się, wyczuwając w zachowaniu Francuza protekcyjność. Nikt lepiej niż jego ojciec nie znał lasów od wybrzeża Wirginii po najdalsze połacie Kentucky. Ojciec jeszcze przed wojną był traperem i prowadził handel z Indianami w tych okolicach. Raz spotkał nawet Daniela Boone'a.

Mimo to Billy zobaczył, jak ojcu drżą ręce, gdy za pomocą rydla i szczotki wolno i ostrożnie oczyszcza skarb z lepkiego gliniastego piasku.

— Jest — powiedział z przejęciem wuj. — Znaleźliśmy.

Fortescue górował nad klęczącymi mężczyznami.

— *Naturellement*. Oczywiście, że tu go zakopano. Przy głowie węża.

Billy nie wiedział, czego szukają — tylko ojciec i wuj czytali zapieczętowane listy do Francuza od gubernatora — wiedział jednak, co Fortescue ma na myśli, mówiąc o „wężu”.

Odwrócił wzrok od wykopu, aby się rozejrzeć po szerokim stanowisku archeologicznym. Badali ziemny kopiec, który wił się przez las. Miał dwa metry wysokości, dwa razy tyle szerokości i ciągnął się ponad sześćset metrów przez lasy i łagodne pagórki. Wyglądał jak grób gigantycznego węża, którego pochowano w miejscu, gdzie skonał.

Billy słyszał o takich kopcach. Podobne wały wraz z wieloma innymi usypiskami wzniesionymi rękami człowieka były rozrzucone na dzikich obszarach obu Ameryk. Ojciec twierdził, że to święte indiańskie kurhany zbudowane przez dawnych przodków tubylców. Podobno wśród samych dzikich zaginęła pamięć o budowniczych prastarych kopców, pozostały tylko legendy i mity. Wciąż nie brakowało opowieści o zaginionych cywilizacjach, starożytnych królestwach, duchach, strasznych klątwach i oczywiście o zakopanych skarbach.

Billy przysunął się bliżej, a ojciec wreszcie wykopał przedmiot owinięty w jakąś grubą skórę z nienaruszonym czarnym szorstkim futrem. Uniósł się z niej piżmowy zapach — mieszanina woni zwierzęcia i gliniastej ziemi — zagłuszając nawet zapach duszonej dziczyzny dobywający się z kociołków nad sąsiednimi ogniskami.

— Skóra bizona — uznał ojciec, spoglądając na Fortescue.

Francuz skinął głową na znak, by kontynuował.

Ojciec obiema rękami oderwał brzeg skóry, odsłaniając to, co od wieków spoczywało w ukryciu.

Billy wstrzymał oddech.

Od czasu uzyskania tych terenów rozkopano i splądrowano wiele indiańskich kurhanów. Znajdowano tam jedynie kości pochowanych ludzi, kilka grotów strzał, tarcz ze skóry i skorup indiańskich naczyń.

Dlaczego więc to wykopalisko miało być tak ważne?

Po dwóch miesiącach skrupulatnych pomiarów, rysowania map i kopania Billy nadal nie rozumiał, po co ich tu właściwie przysłano. Tak jak w wypadku rabusiów plądrujących inne kopce zespół jego ojca po skrupulatnej pracy mógł się pochwalić tylko zbiorem przedmiotów zrobionych przez Indian: łukami, kołczanami, oszczepami, ogromnym kociołkiem do gotowania, parą wyszywanych paciorkami mokasynów, fantastycznym pióropuszem. Oczywiście znalazł też kości. Tysiące. Czaszki, żebra, kości nóg, miednice. Billy podслуchał, jak Fortescue oceniał, że pochowano tu co najmniej setkę mężczyzn, kobiet i dzieci.

Zbieranie i opisywanie wszystkiego było żmudnym i nużącym zajęciem. Praca nad przeszukaniem całego krętego kurhanu od początku do końca trwała aż do początków zimy. Starannie zdejmowali kolejne warstwy indiańskiego kopca, przesiewając ziemię i kamienie, aż wreszcie dotarli, jak powiedział Francuz, do głowy węża.

Ojciec Billy'ego rozłożył skórę bizona. Z ust wszystkich zebranych wyrwały się stłumione okrzyki. Nawet Fortescue gwałtownie wciągnął powietrze przez ściśnięty nos.

Na wewnętrznej stronie zachowanej skóry narysowano krwawą bitwę. Na rysunku galopowały stylizowane postaci mężczyzn na koniach, wielu z nich dzierżyło tarcze. W miejscach, gdzie ostrza przebijały ciała, widniały plamy szkarłatnej farby. W górze świstały strzały. Billy mógłby przysiąc, że słyszy wrzaski i wojenne okrzyki dzikich.

Fortescue ukląkł. Mówił, przesuwając dłoń nad obrazem.

— Już było mi dane oglądać takie dzieła. Tubylcy wyprawiali skórę bizona za pomocą papki sporządzonej z mózgu zwierzęcia, a potem nakładali pigment wydrążonym kawałkiem jego kości. Ale *mon Dieu*, nigdy nie widziałem takiego arcydzieła. Spójrzcie, każdy koń wygląda inaczej, a ubiór każdego wojownika namalowano z dbałością o najdrobniejsze szczegóły.

Ręka Francuza wskazała przedmiot, który przez wiele lat chroniła bizonia skóra.

— I nigdy nie widziałem niczego takiego.

Czaszka olbrzyma została odsłonięta. Wcześniej wykopali złamane kły zwierzęcia wystające z pakunku owiniętego w skórę. Wydobyta teraz na światło dzienne czaszka była wielka jak dzwon kościelny. A jej powierzchnia, tak jak skóra bizona, została ozdobiona przez jakiegoś prehistorycznego artystę.

W kości wyrzeźbiono postaci i kształty, które pomalowano na tak jasny kolor, że wydawały się mokre.

— To mamut, prawda? — odezwał się z podziwem w głosie wuj Billy’ego. — Taki sam jak te znalezione pod Big Salt Lick.

— Nie, to nie mamut — odparł Fortescue, pokazując końcem laski. — Proszę spojrzeć na krzywiznę i długość kłów, na gigantyczne zęby trzonowe i przedtrzonowe. Anatomia i budowa czaszki różnią się od cech mamutów występujących w krajach Starego Świata. Szczątki takiego zwierzęcia, charakterystycznego dla obu Ameryk, sklasyfikowano jako nowy gatunek. Nazwano je mastodontem.

— Nie obchodzi mnie, jak je nazwano — oznajmił zdecydowanym tonem ojciec Billy’ego. — Chcę tylko wiedzieć, czy znaleźliśmy właściwą czaszkę.

— Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć.

Fortescue przeciągnął palcem wskazującym po kostnej krawędzi czaszki. Czubek palca zanurzył się w otworze w jej tylnej części. Billy oprawiał w życiu wystarczająco dużo jeleni i królików, by wiedzieć, że otwór wygląda na zbyt równy, by mógł powstać w naturalny sposób. Francuz zaczął tam palec i pociągnął.

Wśród zebranych znów rozległ się szmer zaskoczenia. Kilku niewolników cofnęło się ze zgrozą. Billy szeroko otworzył oczy ze zdumienia, widząc, jak sklepienie czaszki rozdziela się na dwie połowy i otwiera niczym drzwiczki kredensu. Z pomocą jego ojca Fortescue delikatnie rozdzielił obie części — grube na pięć centymetrów i wielkie jak półmiski.

Nawet w skąpym świetle słońca wewnątrz czaszki błysnęło jasnym blaskiem.

— Złoto — wykrztusił wstrząśnięty wuj.

Droгоценnym metalem zostało wyłożone całe wewnątrz czaszki.

Fortescue przesunął palec po wewnętrznej stronie jednej z kostnych połówek. Dopiero teraz Billy zauważył wypukłości i wyłobienia na złotej powierzchni. Wyglądało to jak szkic mapy ze stylizowanymi drzewami, rzeźbionymi górami i krętymi wstążeczkami rzek. Na metalu wyryto także nieczytelne znaki, które mogły być pismem.

Przysuwając się bliżej, Billy pochwycił słowo, które Fortescue wyszeptał z podziwem i nutą lęku:

— Hebrajski.

Otrząsnąwszy się ze zdumienia, stojący obok Billy'ego ojciec zauważył:

— Ale czaszka jest pusta.

Fortescue ponownie zajrzał do otwartej jamy czaszki wyłożonej złotem. Duża przestrzeń mogłaby pomieścić noworodka, lecz — jak zauważył ojciec — była pusta.

Francuz przyglądał się uważnie jamie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, ale z jego oczu Billy wyczytał, że w jego głowie gorączkowo kłębią się myśli i przypuszczenia.

Co takiego spodziewali się znaleźć?

Fortescue wstał.

— Zamknijcie. Owińcie z powrotem w skórę. Musimy być gotowi, żeby za godzinę przewieźć to do Wirginii.

Nikt się nie sprzeciwiał. Gdyby rozniosła się wieść o złocie, miejsce z pewnością zostałoby splądrowane. W ciągu następnej godziny słońce skryło się za horyzontem i zapalono pochodnie, a ludzie pracowali ze zdwojoną energią, aby wydobyć z ziemi ogromną czaszkę. Przygotowano wóz i konie. Ojciec Billy'ego, jego wuj i Francuz przez większą część tego czasu naradzali się z pochylonymi głowami.

Billy, udając, że pracuje, podkraść się z miotłą w dłoni na tyle blisko, by podsłuchać rozmowę. Mówili jednak zbyt cicho, by pochwycić więcej niż kilka słów.

— Może wystarczyć — powiedział Fortescue — ...od tego zacząć. Jeżeli wróg znajdzie to przed nami, naszej młodej unii będzie grozić zagłada jeszcze przed jej narodzinami.

Ojciec Billy'ego przecząco pokręcił głową.

— Wobec tego lepiej byłoby od razu to zniszczyć. Puścić z dymem. Spalić kości na popiół, a złoto stopić na żużel.

— Być może będzie musiało do tego dojść, ale decyzję pozostawimy gubernatorowi.

Ojciec wyraźnie zamierzał się sprzeciwić Francuzowi, lecz nagle dostrzegł kręcącego się w pobliżu Billy'ego. Odwrócił się i podniósł rękę, chcąc odpędzić chłopca, i otworzył usta, aby coś powiedzieć.

Te słowa nie zdążyły paść.

Zanim ojciec zdążył się odezwać, z jego gardła buchnęła krew. Osunął się na kolana, chwytając za szyję. Spod podbródka sterczał grot strzały. Krew płynęła mu spomiędzy palców i z rozwartych ust.

Billy podbiegł do ojca, w jednej chwili zmieniając się z młodzieńca w przerażone dziecko.

— Tato!

W szoku przestał cokolwiek słyszeć. Świat skurczył się do postaci ojca, który patrzył na niego wzrokiem pełnym cierpienia i żalu. Nagle jego ciałem zaczęły wstrząsać drgawki, aż wreszcie runął na twarz. Plecy miał naszpikowane piórami. Za jego ciałem Billy ujrzał swojego wuja, który klęczał ze zwieszoną głową. Pierś przeszył mu na wylot oszczep, którego grot zarył się w ziemi, a drzewce podpierało martwe ciało.

Zanim Billy pojął, co widzi, co się dzieje, został uderzony z boku — nie przez strzałę ani oszczep, lecz rękę. Przewrócił się na ziemię i przetoczył. Cios przywrócił go także do rzeczywistości.

Jego uszy przeszyły wrzaski. Kwik koni. Zobaczył tańczące w blasku pochodni cienie dziesiątek atakujących i broniących się mężczyzn. Wokół nich strzały ze świstem cięły powietrze przy akompaniamencie dzikich okrzyków.

Atak Indian.

Billy zaczął się szamotać, ale Francuz przyciskał go mocno do ziemi.

— Leż, chłopcze — syknął mu do ucha Fortescue.

Francuz puścił go i zerwał się na nogi, kiedy rzucił się na niego z uniesionym tomahawkiem półnagi dziki z przerażającą czerwoną maską namalowaną na twarzy. Fortescue obrócił ku niemu nędną,



ale jedyną broń, jaką miał — swoją laskę.

Kiedy wycelował rzeźbioną dębinę w napastnika, laska rozdzieliła się tuż przy ręczce. Drewniana pochwa spadła, ukazując ukryte wewnątrz ostrze szpady i uderzając w czoło dzikiego, który zachwiał się i stracił równowagę. Fortescue natarł na niego, przekłuwając mu pierś.

Rozległ się gardłowy wrzask. Fortescue wykorzystał impet napastnika i cisnął go na ziemię obok Billy'ego.

Wyswobodził ostrze.

— Do mnie, chłopcze!

Billy postuchał. Nie mógł postąpić inaczej. Nie miał czasu myśleć. Zaczął się z trudem podnosić, lecz poczuł uścisk ręki. Zakrwawiony Indianin usiłował go zatrzymać. Billy wyrwał rękę.

Indianin padł na ziemię. W miejscu, gdzie napastnik chwycił go za rękaw, pozostał odcisk dłoni. To nie krew, uzmysłowił sobie w tym momencie Billy.

Farba.

Spojrzał na konającego dzikiego. Ręka, która go złapała, była biała jak śnieg, choć w zgięciach dłoni pozostały resztki farby.

Czyjeś palce zacisnęły się na jego kołnierzu i pociągnęły go w górę.

Billy odwrócił się do Fortescue, który nadal go trzymał.

— To... to nie Indianie — wykrztusił przez łyzy, usiłując zrozumieć.

— Wiem — odrzekł Fortescue bez cienia lęku.

Wokół nich wciąż panował chaos. Zgasły dwie ostatnie pochodnie. Słychać było krzyki, modlitwy i błagania o litość.

Fortescue pochyłony pociągnął Billy'ego przez obozowisko, zatrzymując się tylko po to, by zabrać rozłożoną skórę bizona, którą wcisnął do rąk chłopca. Dotarli do ukrytego głębiej w lesie i uwiązane do drzewa konia, którego ktoś już osiodłał, jak gdyby spodziewając się napaści. Koń grzebał kopytami w ziemi i rzucał głową przestraszony krzykami i zapachem krwi.

Francuz wskazał go Billy'emu.

— Wsiadaj. Gotuj się do ucieczki.

Gdy Billy wsunął nogę w strzemień, Francuz zniknął w

ciemnościach. Nie mając innego wyjścia, Billy wspiał się na siodło. Zdawało mu się, jak gdyby jego ciężar nieco uspokoił konia. Ramionami objął spocony kark wierzchowca, ale serce wciąż szaleńczo tłukło mu się w piersi. W uszach huczała krew. Chciał zatkać je rękami, by nie słyszeć potępieńczych wrzasków, ale musiał wyciągać szyję, patrząc, czy nie nadchodzą dzicy.

To nie dzicy, poprawił się w duchu.

Za jego plecami trzasnęła gałąź. Obrócił się w tę stronę i ujrzał zbliżającą się utykającą postać. Po błysku szpady i długim jak peleryna fraku poznał, że to Francuz. Billy zapragnął zeskoczyć z konia, objąć Fortescue i zmusić go, żeby zdradził mu sens tej rzezi i oszustwa.

Fortescue zbliżył się do niego. Z jego uda tuż nad kolaniem sterczało złamane drzewce strzały. Gdy stanął u boku Billy'ego, wcisnął mu do rąk dwa duże przedmioty.

— Weź je. Zawiąń w skórę.

Billy przyjął brzemie. Zdumiał się, widząc, że to sklepienie znalezionej czaszki olbrzymiego zwierzęcia, rozłupane na dwie części — naga kość po jednej, a złoto po drugiej stronie. Fortescue musiał je wykraść.

Ale po co?

Nie było czasu na odpowiedzi, więc złożył dwa kostne półmiski platerowane złotem i owinął w skórę bizona, którą miał na kolanach.

— Jedź — rozkazał Fortescue.

Billy ujął wodze, ale się zawahał.

— A pan?

Fortescue położył mu dłoń na kolanie, starając się go uspokoić, jak gdyby wyczuł jego paniczny, zwierzęcy strach. Powiedział zdecydowanym tonem:

— Ty i twój koń i bez mojego ciężaru macie dużo do zdźwigania. Musisz stąd uchodzić jak najprędzej. Zawieź to w bezpieczne miejsce.

— Dokąd? — zapytał Billy, ściskając w dłoniach wodze.

— Do nowego gubernatora Wirginii. — Francuz odsunął się od nich. — Zawieź to do Thomasa Jeffersona.

# 1

Współczesność  
18 maja, 13.32  
Góry Skaliste, stan Utah

Wyglądało to jak brama piekła.

Dwaj młodzi mężczyźni stali na grzbiecie góry, pod którym otwierała się głęboka, ginąca w ciemnościach przepaść. Wspinaczka z miasteczka Roosevelt do tego odległego punktu wysoko w Górach Skalistych zajęła im osiem godzin.

— To na pewno to miejsce? — zapytał Trent Wilder.

Charlie Reed wyciągnął telefon komórkowy, sprawdził wskazania GPS, po czym zajrzał do indiańskiej mapy narysowanej na kawałku jeleniej skóry i zabezpieczonej w szczelnie zamkniętej przezroczystej plastikowej torebce.

— Chyba tak. Według mapy na dnie tego wąwozu powinien być mały strumień. Tam gdzie skręca na północ, powinno być wejście do jaskini.

Trent zadygotał i strząsnął śnieg z włosów. Choć na nizinach nadejście wiosny zwiastowały już wielobarwne gobeliny polnych kwiatów, tu wciąż niepodzielnie panowała zima. Powietrze było zimne, a okoliczne szczyty gór pokrywał śnieg. Na domiar złego przez cały dzień zbierały się chmury i zaczynało śnieżyć.

Trent przyjrzał się uważnie wąskiej dolinie. Wydawało się, że nie ma dna. W dole z morza mgły wynurzał się ciemny sosnowy las. Ze wszystkich stron otaczały ich surowe skały. Kiedy pakował liny i uprząż, miał nadzieję, że nie będzie ich potrzebował.

Ale nie to go niepokoiło najbardziej.

— Może nie powinniśmy tam schodzić — powiedział.

Charlie uniósł brew.

— Przecież wspinaliśmy się cały dzień.

— A ta kłątwa? Twój dziadek...

Lekceważąco machnął ręką.

— Staruszek jest już jedną nogą w grobie, a pejotl przeżarł mu mózg. — Charlie klepnął go w ramię. — No, nie ma co robić w spodnie. W jaskini jest pewnie tylko parę strzał, jakieś potłuczone garnki. Jeśli będziemy mieli szczęście, może znajdzie się nawet parę kości.

Trent nie miał innego wyjścia, więc ruszył za Charliem wąską ścieżką wydeptaną przez jelenie, którą odkryli wcześniej. Kiedy schodzili po zboczu, spoglądał krzywym okiem na szkarłatną kurtkę Charliego ozdobioną z tyłu dwoma piórami — symbolem Uniwersytetu Utah. Trent wciąż nosił sportową kurtkę ze szkoły średniej z pumą Roosevelt Union. Przyjaźnili się od podstawówki, ale ostatnio zaczęli się od siebie oddalać. Trent pracował na stałe w warsztacie blacharskim swojego ojca, natomiast Charlie właśnie skończył pierwszy rok college'u. Jeszcze tego lata miał odbyć staż w kancelarii prawnej rezerwatu Uintah.

Jego przyjaciel był wschodzącą gwiazdą, którą Trent niebawem będzie musiał oglądać przez teleskop z miasteczka Roosevelt. Zresztą nie było to nic nowego. Charlie zawsze przyćmiewał Trenta. Oczywiście nie bez znaczenia był fakt, że jego przyjaciel jako półkrewi Indianin z plemienia Ute miał odziedziczoną po swoich pobratymcach wieczną opaleniznę i długie czarne włosy. Trent z rudym językiem na głowie i burzą piegów na nosie i policzkach musiał wiecznie występować w roli jego przybocznego na wszystkich szkolnych imprezach.

Choć żaden z nich nie wypowiedział tego głośno, obaj mieli świadomość, że u progu dorosłości ich przyjaźń czeka nieuchronny koniec. W ramach inicjacji postanowili więc przeżyć razem ostatnią przygodę i odnaleźć świętą jaskinię plemienia Ute.

Według słów Charliego o istnieniu tego miejsca pochówku na obszarze chronionym High Uintas wiedziała tylko garstka jego najstarszych współplemieńców. Tym, którzy wiedzieli, nie wolno

było o nim mówić. Charlie dowiedział się tylko dzięki temu, że jego dziadek miał wyjątkową słabość do burbona. Wątpił, by dziadek w ogóle pamiętał, że pokazywał mu starą mapę na skórze jelenia, ukrytą w wydrążonym rogu bizona.

Trent pierwszy raz usłyszał historię o jaskini na początku szkoły średniej, gdy siedział skulony z Charliem w dwuosobowym namiociku. Trzymając pod brodą latarkę dla większego efektu, przyjaciel zakończył opowieść:

— Dziadek mówi, że Wielki Duch ciągle nawiedza jaskinię. Pilnuje wielkiego skarbu naszego ludu.

— Jakiego skarbu? — spytał z powątpiewaniem Trent. W tamtych czasach bardziej interesował go „Playboy” wykradziony z szafki ojca. Taki skarb mu wystarczył.

Charlie wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Ale musi być przeklęty.

— Jak to?

Przyjaciel przysunął latarkę bliżej brody, diabolicznie marszcząc brwi.

— Dziadek mówi, że ktokolwiek wtargnie do jaskini Wielkiego Ducha, nigdy nie będzie już mógł wyjść.

— Dlaczego?

— Bo gdyby wyszedł, świat by się skończył.

W tym momencie obaj podskoczyli, bo stary pies Trenta przeraźliwie zawył. Potem śmiali się i gadali do późnej nocy. Na koniec Charlie lekceważąco uznał opowieść dziadka za bzdurę pełną zabobonów. Jako nowoczesny Indianin Charlie wychodził ze skóry, żeby sprzeciwić się podobnym głupstwom.

Mimo to kazał Trentowi przysiąc, że nie zdradzi tajemnicy, i nie chciał zabrać go do miejsca zaznaczonego na mapie — aż do dziś.

— Na dole robi się ciepłej — powiedział Charlie.

Trent wyciągnął przed siebie rękę. Przyjaciel miał rację. Śnieg padał gęściej, coraz grubszymi płatkami, ale w miarę jak schodzili niżej, powietrze się ocieplało, niosąc zapach przypominający zgniłe jaja. W pewnym momencie śnieg zmienił się w mżawkę. Trent wytarł dłoń o spodnie i zrozumiał, że mgła, którą zobaczył

wcześniej na dnie wąwozu, to w rzeczywistości para.

Między drzewami ukazało się jej źródło: wąski strumyk płynący skalnym korytem na dnie wąwozu.

— Czuć siarkę — rzekł Charlie, pociągając nosem. Gdy dotarł do strumienia, sprawdził wodę palcem. — Gorąca. Pewnie wypływa z jakiegoś źródła geotermalnego.

Na Trencie nie zrobiło to większego wrażenia. W górach roiło się od ciepłych źródełek.

Charlie wstał.

— Trafiliśmy.

— Skąd wiesz?

— Takie ciepłe wody są święte dla mojego plemienia. Logiczne, że postanowili tu urządzić ważne miejsce pochówku. — Charlie ruszył dalej, przeskakując z kamienia na kamień. — Chodź. Już niedaleko.

Razem poszli w górę strumienia. Z każdym krokiem robiło się coraz cieplej. Woń siarki drażniła oczy i nozdrza Trenta. Nic dziwnego, że nikt nie odnalazł tego miejsca.

Trent, czując, jak łzawią mu oczy, miał ochotę zawrócić, ale Charlie nagle zatrzymał się przy ostrym zakręcie strumienia. Jego przyjaciel wykonał pełny obrót, trzymając telefon komórkowy jak różdżkę, po czym zajrzał do mapy, którą tego ranka wykradł z sypialni dziadka.

— Jesteśmy na miejscu.

Trent rozejrzał się dookoła. Nie widział żadnej jaskini. Tylko drzewa i drzewa. Wyżej śnieg zaczął już zamarzać, podczas gdy w dole wciąż siałła mżawka.

— Wejście musi być gdzieś niedaleko — mruknął Charlie.

— A może to tylko stara bajka.

Charlie przeskoczył na drugą stronę strumyka i zaczął nogą roztrącać rosnące tam paprocie.

— Powinniśmy przynajmniej się rozejrzeć.

Trent na odczepnego szukał po swojej stronie, oddalając się od brzegu.

— Nic nie widzę! — zawołał, gdy dotarł do granitowej ściany.

— Może lepiej będzie po prostu...

Nagle, odwracając się, dostrzegł to kątem oka. Wyglądało jak jeszcze jeden cień na skalnym urwisku, ale w dolinie dmuchał lekki wiatr, szeleszcząc w gałęziach drzew i poruszając cienie.

Ten cień jednak ani drgnął.

Trent podszedł bliżej. Wejście do jaskini było niskie i szerokie jak usta zastygłe w grymasie niezadowolenia. Otwierało się ponad metr nad ziemią w skalnej ścianie, ukryte pod kamiennym gzymsem.

Nadejście przyjaciela poprzedził plusk i przekleństwo.

Trent wskazał urwisko.

— To naprawdę tutaj — rzekł Charlie i po raz pierwszy w jego głosie zabrzmiała nuta wahania.

Stali przez dłuższą chwilę, patrząc na wejście do jaskini i przypominając sobie związane z nią opowieści. Obaj zbyt się obawiali, by ruszyć naprzód, lecz za bardzo rozpieła ich męska duma, by mogli się cofnąć.

— Wchodzimy? — zapytał w końcu Trent.

Jego słowa przerwały patową sytuację.

Charlie wyprostował się sztywno.

— Jasne, że wchodzimy.

Zanim któregoś z nich zdążył oblecieć strach, podeszli do skalnej ściany i wspięli się do otwartej paszczy jaskini. Charlie wy dobył latarkę i skierował w gardziel tunelu. Daleko w głąb góry sięgał stromy korytarz.

Charlie wsadził głowę do środka.

— Chodźmy znaleźć ten skarb!

Ośmielony zuchwałością przyjaciela Trent poszedł za nim.

Korytarz szybko się zwęził, musieli więc iść jeden za drugim. Wewnątrz było jeszcze bardziej gorąco, choć przynajmniej sucho i trochę mniej śmierdziało.

Przeciskając się przez wyjątkowo wąskie przejście, Trent poczuł przez kurtkę ciepło granitu.

— Kurczę — powiedział, odsuwając się od skały. — Tu jest jak w cholernej saunie.

Twarz Charliego się rozpromieniła.

— Albo jak w szałasie potu. Może nawet ludzie z mojego

plemienia urządzili tutaj taki szałas. Założę się, że gorące źródło jest tuż pod naszymi nogami.

Trent uznał, że to nie brzmi zbyt zachęcająco, ale nie było już odwrotu.

Kilka kroków dalej otworzyła się przed nimi niska sala wielkości boiska do koszykówki. Na wprost ujrzeni zagłębienie nieudolnie wykute w granicie poczerniałym od dawnego ognia.

Charlie po omacku odnalazł ramię przyjaciela. Mimo silnego uścisku Trent poczuł, że jego dłoń drży. I wiedział dlaczego.

Grota nie była pusta.

Wzdłuż ścian i na podłodze ciągnął się szereg ciał mężczyzn i kobiet zastygłych w różnych pozycjach: siedzących prosto ze skrzyżowanymi nogami albo leżących na boku. Ich skóra wyschła do kości, oczy zapadły się w głąb oczodołów, wargi odsłoniły pożółkłe zęby. Wszystkie zwłoki były obnażone do pasa, nawet kobiet, których zasuszone piersi leżały płasko nad brzuchem. Niektóre ciała przyozdabiałały pióropusze albo naszyjniki z kamieni na sznurkach ze ścięgien zwierząt.

— Ludzie z mojego plemienia — wychrypiał Charlie z szacunkiem w głosie, podchodząc bliżej do jednej z mumii.

Trent ruszył w ślad za nim.

— Jesteś pewien?

W ostrym świetle latarki ich skóra wydawała się zbyt blada, a włosy za jasne. Trent nie był jednak żadnym ekspertem. Może w gorących oparach bogatych w minerały ciała nie tylko się upiekły, ale i wybieliły.

Charlie obejrzał mężczyźną z kółkiem czarnych piór na szyi. Przyniósł bliżej latarkę.

— Jakby czerwone.

Nie mówił o kolorze skóry. W snopie jaskrawego światła kołtun włosów na uschniętej czaszce miał czerwonokasztanową barwę.

Trent zauważył coś jeszcze.

— Popatrz na jego szyję.

Odrzucona w tył głowa mężczyzny opierała się o granitową ścianę. Przez rozciętą pod brodą skórę wyzierała kość i wysuszona tkanka. Cięcie było proste, nie pozostawiało żadnych wątpliwości.



Strupieszale palce ścisnęły błyszczący metalowy nóż. Ostrze wciąż było gładkie i odbijało światło.

Charlie wolno powiódł latarką po całym pomieszczeniu. Na kamiennej posadzce i w kościstych palcach zobaczyli podobne noże.

— Wygląda na to, że popełnili samobójstwo — rzekł wstrząśnięty Trent.

— Ale dlaczego?

Trent wskazał jedyny odmienny element w jaskini. Na przeciwległym końcu czerniło się wejście do dalszego odcinka tunelu.

— Może coś tam ukrywali i nie chcieli, żeby ktokolwiek o tym wiedział?

Wpatrywali się w ciała. Trenta przebiegł dreszcz od palców stóp po czubek głowy, a ramiona pokryła mu gęsia skórka. Żaden z nich nie ruszał się z miejsca. Żaden nie miał ochoty przejść przez salę śmierci. Nawet obietnica skarbu przestała ich kusić.

Charlie odezwał się pierwszy.

— Spadajmy stąd.

Trent nie zamierzał mu się sprzeciwiać. Naogładał się dość okropieństw jak na jeden dzień.

Charlie odwrócił się i skierował w stronę wyjścia, zabierając ze sobą jedyne źródło światła.

Trent wszedł za nim do tunelu, ale cały czas oglądał się za siebie, bojąc się, że Wielki Duch opętał jedno z martwych ciał, które poczłapie za nimi ze sztyletem w trupiej dłoni. Spoglądając do tyłu, nie patrzył pod nogi i jego but pośliznął się na jakimś skalnym odłamku. Upadł na brzuch i zsunął się po stromiznie kilkadziesiąt centymetrów w stronę jaskini.

Charlie nie czekał. Za wszelką cenę chciał uciec. Zanim Trent zdążył się podnieść i otrzepać kolana, Charlie dotarł do wylotu tunelu i wyskoczył na zewnątrz.

Widząc, że przyjaciel go porzuca, Trent zaczął głośno protestować, lecz nagle na zewnątrz rozległ się inny krzyk, ostry i pełen złości. Był tam ktoś jeszcze. Trent zatrzymał się jak wryty. Padły jakieś słowa wypowiedziane podniesionym głosem, ale

Trent nie zrozumiał żadnego z nich.

Potem huknął strzał z pistoletu.

Trent podskoczył i cofnął się dwa kroki w ciemność.

Gdy przebrzmiało echo wystrzału, zaległa głucha cisza.

Charlie...?

Dygocząc ze strachu, Trent wycofał się w głąb tunelu, oddalając od wyjścia. Oczy na tyle przywykły do mroku, że zdołał bezszelestnie dotrzeć do pieczary z mumiami. Zatrzymał się przed wejściem uwieczony między ciemnością, którą miał za plecami, a kimś czyhającym na zewnątrz.

Cisza przedłużała się, czas płynął jakby coraz wolniej.

W końcu dobiegł go odgłos szurania i sapanie.

Och, nie...

Trent chwycił się za gardło. Ktoś wchodził do jaskini. Z łomotem serca cofnął się jeszcze głębiej w mrok. Nie miał innego wyjścia, ale potrzebował broni. Przystanął, by wyciągnąć nóż z zaciśniętych palców jednego z trupów, które złamały się jak suche gałązki.

Już uzbrojony wsunął nóż za pasek i ostrożnie ruszył przez zasłaną zwłokami salę. Wyciągnął ręce przed siebie, ocierając się o sztywne pióra, suchą skórę i szorstkie włosy. Wyobrażał sobie, jak usiłują go złapać kościste ręce, lecz wbrew woli kroczył dalej.

Musiał się gdzieś ukryć.

W grę wchodziło tylko jedno miejsce.

Tunel po drugiej stronie...

Przerażała go sama myśl o nim.

W pewnym momencie jego stopa straciła oparcie. Omal nie wrzasnął, ale w porę uświadomił sobie, że trafił po prostu w wykopaną w ziemi dawną jamę na ognisko. Szybko ją przeskoczył. Próbował wykorzystać tę dziurę jako punkt orientacyjny w ciemności, lecz okazało się to zbyt bezsensowne.

Światło za jego plecami coraz bardziej jaśniało, wkradając się do pieczary.

Widząc już drogę, rzucił się biegiem przez jaskinię. Kiedy dopadł wejścia do tunelu, usłyszał za sobą głuchy łoskot. Obejrzał się przez ramię.